MARIA SOWA

ur. 1926; Zamość

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	PRL, życie codzienne, święta państwowe, pochody pierwszomajowe, Święto Kobiet, księga skarg i zażaleń, cinkciarze, czyny społeczne

Życie codzienne w PRL-u

Jak ja pracowałam, to na 1 Maja trzeba było iść koniecznie na pochód, bo to była lista, nie ma mowy, a jeszcze kierownik zakładu, to już wykluczone, żeby nie poszedł na pochód. Urywało się w jakiś tam sposób w połowie z tego pochodu bardzo często, ale do tej trybuny trzeba było dojść. A po trybunie to już różnie bywało. Szło się tam bokiem szybko, w boczną ulicę i przychodziło się do swojego zakładu.

Święto rewolucji październikowej to już była zmora. Miesiąc przed rewolucją to już nic, telewizora nie można było otworzyć, radia nie można było otworzyć, bo już była tylko rewolucja październikowa, to wiadomo, że to już bokiem, czubkiem głowy wychodziło. Wiadomo, że się ją bojkotowało, bo co nas Polaków obchodziła rewolucja październikowa? Wiadomo przecież czego ona dotyczyła.

Święto kobiet było bardzo uroczyście obchodzone. Na święto kobiet to już obowiązkowo w przedsiębiorstwie, w jakimś dużym lokalu był poczęstunek, były kwiaty – dla każdej po jednym goździku albo tulipanie, to zależy. Jakiś tam drobny upominek: jakieś rajstopy czy jakiś tam kubeczek czy tam coś. Takie drobiazgi dawali. Oczywiście trzeba było podpisać listę odbioru. No i był poczęstunek i się świętowało to święto kobiet. Bo takie było wtedy prawo. Ja osobiście, szczerze mówiąc, nie lubiłam tego święta, bo właściwie, co ono dawało? No ale taki był zwyczaj, taka była tradycja. To też przecież przyszło ze Związku Radzickiego. Bo tam święto kobiet to już jest w ogóle, niemalże uroczystość państwowa.

Na czyny społeczne chodziłam, bo był obowiązek. Od czasu do czasu, to była zbiórka, to się szło na czyn społeczny. Na przykład pamiętam, gdzieś tam raz byłam na czynie społecznym na Sławinku, tam się coś kopało, tam jakiś ogród powstawał, czy jakieś działki pracownicze, ja już nie pamiętam tego, to było tyle lat temu. Tam się szło, każdy dostawał łopatę, i jakiś tam okres czasu, chyba dwie godziny, trzeba było odpracować. I tam była lista, i tam była jedna osoba z gastronomii upoważniona do tego, żeby sprawdzić tą listę, i był gwizdek, że jest koniec pracy. Tak. No a jak ja się

sprowadziłam tutaj na LSM, to były ciągle czyny społeczne. Bo to już trzeba było trawniki skopywać, jakiś tam gruz wynosić, coś tam się działo. Ja ani razu nie brałam udziału w czynach społecznych tutaj u siebie na LSM-ie, ale mój mąż kilka razy tak.
Ja osobiście nie miałam żadnych kontaktów z cenzurą. Wiem, że była cenzura, działała bardzo tak wnikliwie, ale to już oni załatwiali, jeżeli chodziło o gastronomię, to w biurze, w dziale administracyjnym. To tam na przykład, jeżeli ja miałam koncert w Lubliniance, to najpierw musiałam mieć temat jaki będzie poruszany, powiedzmy, artystyczny, co będą śpiewać, co będą tam mówić, jakie kuplety, monologi. I to szło do działu właśnie naszej tej administracji, przy dziale administracji był w ogóle taki mały oddział działu z kulturą i sztuką, to było u nas w gastronomii, to oni organizowali te różne występy, i to oni już z nimi załatwiali. Nie wolno było nic tam antypaństwowego wtedy wygłaszać, no bo po to była cenzura. Ale ja osobiście nie miałam żadnej styczności z cenzurą. Żadnej. A na tych występach artystycznych u mnie nie było żadnych zastrzeżeń. Ale ponieważ aktorzy wiedzieli, że jest cenzura, to wystarczyło jedno jakieś tam słowo czy jeden gest jakiś wkręcony w całość, że kto był inteligentny to zrozumiał o co chodzi. Natomiast tak kawę na ławę to nie, tak jak teraz wali się z grubej rury, jak to się mówi, to było w ogóle niedopuszczalne w naszych czasach, w tamtym okresie.
Książka skarg i wniosków musiała być w każdym lokalu i ja w ciągu trzech dni musiałam odpowiedzieć każdemu klientowi. Dużo było tych zarzutów. A to czekał za długo na kelnerkę, a to tam lody w cenniku były za 1,50 zł, to ona mu policzyła 1,80 zł, a to była niegrzeczna, a to mu coś nie smakowało, że ciastko było nieświeże… O tego rodzaju różne skargi. To książka życzeń i zażaleń to obowiązkowo już krążyła. Ja czasami miałam kilka takich jednego dnia, że musiałam siadać i odpowiadać. I ja to wysyłałam do działu organizacyjnego, do biura, i oni na to odpisywali, posyłali to co ja wyjaśniłam, moje wyjaśnienie. No, za każdym razem trzeba było tam napisać: „że przepraszamy, że nigdy się to nie powtórzy więcej, z całym szacunkiem, prosimy o korzystanie z naszych usług”, i tak dalej, to już była taka formułka.
Było takie zarządzenie, że tylko od godziny trzynastej można było sprzedawać alkohol. No i poniedziałek musiał być dniem bezmięsnym, to się przestrzegało, w poniedziałek nie wolno było sprzedawać nic mięsnego, bo to był dzień bezmięsny. Mogły być tylko ryby, drób, dania jarskie, a mięsa nie, ale to było wprowadzone celem jakiegoś takiego trochę zaoszczędzenia mięsa, bo tego mięsa nie było aż tak wiele, to po to, żeby w ten jeden dzień, powiedzmy, tego przydziału już oszczędzić. A jeżeli chodzi o alkohol, no tak, to od trzynastej się dopiero sprzedawało. To już się przestrzegało tego bardzo. Bo po co ja miałam się narażać, że przyszedł ktoś, bo chciał się wódki napić, a później ja bym się musiała z tego tłumaczyć. To to było bardzo, bardzo rygorystycznie przestrzegane. Przynajmniej w moich lokalach, tam gdzie ja byłam. [Dlaczego akurat od trzynastej?] No nie wiem, podejrzewali, że trzynasta to jest może taka pora obiadowa, że można już sobie tego kielicha strzelić do tego schabowego. A przed tym to trzeba jeszcze pracować i nie wolno tego robić.

Mnie się tak wydaje. Bo dlaczego nie od osiemnastej wieczorem, tylko od trzynastej? W Lublinie też były te sklepy wojskowe przecież, „za tymi żółtymi firankami”, z których tylko wojsko, pracownicy wojska, policji, jacyś tam na pewno z komitetu, mogli wtedy z tego korzystać. To były zamknięte sklepy, przed wojną to się nazywał wojentorg. Taki sklep to było coś w rodzaju tych wojentorgów właśnie.
Ja nie korzystałam z usług cinkciarzy, nie kupowałam dolarów w tamtym czasie. Absolutnie. A czasem jak chciałam coś kupić w Peweksie, sobie czy córce jakiś sweter, to szłam pod obecne PKO na Krakowskim Przedmieściu, i tam byli właśnie cinkciarze. I tam można było kupić, ale nie dolary, tylko bony towarowe, bo mnie interesowały bony, bo czy ja dolarami płaciłam, czy bonami, to było wszystko jedno.
Zdarzało się w PRL-u, że jak facet nie chciał pracować, to szedł na przykład do warsztatu ślusarskiego prywatnego, dawał właścicielowi tam ileś, płacił mu comiesięcznie albo jednorazowo, i on mu dawał zaświadczenie, że on jest u niego zatrudniony jako ślusarz czy tam inny blacharz czy spawacz, a on się huśtał dalej, bo tam handlował czy coś robił po prostu, taki niebieski ptak, mu się nie chciało pracować. A bał się jednak, bo był taki okres, że szczególnie zwracali na to uwagę, był przymus pracy. Jak student kończył studia, to był przypisany do jakiegoś przedsiębiorstwa i musiał pracować. Na praktykę szedł czy gdzieś tam, żeby się nazywało, że on musi pracować, bo on skończył studia.

Data i miejsce nagrania	2008-01-25, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Jakub Skowron
Redakcja	Maria Radek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"